

25 czerwca, sobota

Muszę przyznać, że pociąg to nie jest najlepsze miejsce do pisania pamiętnika. Litery wychodzą mi strasznie krzywe i muszę podkulać kolana, by się nie garbić. Ale potrzeba potrzebą i nic na to nie poradzę. Kilkanaście minut temu pożegnałam na stacji Dominikę, Maćka i Irenę i tak mi jakoś niewyraźnie. Po prostu muszę się wypisać. Tu i teraz.

Zostawiam za sobą swoje miasto i całe swoje dotychczasowe życie. To zamknięty rozdział i wiem, że już nigdy nic nie będzie tak jak kiedyś. Wiem też, że zostałam kompletnie sama. No, może nie kompletnie, ale z pewnością sama, przynajmniej tam, dokąd jadę. Zeszyt, w którym teraz piszę, kupiłam wczoraj. To symbol nowego etapu, który mam przed sobą. Niech no pomyślę, co też mnie czeka w ciągu najbliższego roku. Nowy dom, nowa szkoła, nowi znajomi, osiemnaste urodziny, matura, rekrutacja na studia. Sporo tego, ale wciąż czegoś brakuje.

Rodzina. No tak, ważne słowo. Problem w tym, że ja już nie mam rodziny. Odkąd zmarła babcia, mama była całą moją rodziną. Teraz i ona odeszła. A Kołachowskiego nigdy nie nazwę dziadkiem. Nigdy!

Swoją drogą to idiotyczne, że muszę zamieszkać z człowiekiem, którego spotkałam zaledwie raz, który nigdy nie zaakceptował faktu mojego istnienia i dla którego prawdopodobnie świat byłby lepszym miejscem beze mnie. Dobrze, że chociaż babcia była inna. Jak ona mogła wytrzymać z takim człowiekiem?

Słowo daję, wołałabym zostać z Ireną. Dlaczego mi na to nie pozwolił? Przecież na pewno jest tak samo niezadowolony z faktu, że z nim zamieszkałam, jak ja sama. A gdybym została u Ireny, wszystkim byłoby to na rękę. Nie musiałabym wyjeżdżać z Krakowa, a on żyłby sobie dalej bez zbędnych i niechcianych istot krążących po jego salonach. Irena sama mu to zaproponowała i nie mam pojęcia, czemu się nie zgodził.

— Twój dziadek najwidoczniej czuje się w obowiązku zaopiekować się tobą — powiedziała mi po jednej z kilku rozmów telefonicznych, jakie odbyła z nim w ciągu ostatnich miesięcy.

— Nie rozśmieszaj mnie — odparłam. — Poczucie obowiązku to ostatnia rzecz, jaką wpisałabym na listę jego cech.

— Może coś się zmieniło? Może żałuje tego, co zrobił? Może teraz będzie chciał ci to jakoś wynagrodzić?

Cała Irena. Niepoprawna optymistka.

— Proszę cię! — burknęłam, wywracając oczami. — Nie zauważyłam, by uрониł chociaż jedną łzę na pogrzebie mamy. Jakim to trzeba być potworem odartym z wszelkich uczuć! Nie widział jej przez osiemnaście lat i nawet stojąc nad jej grobem, najwidoczniej nie miał sobie nic do zarzucenia. To nic, że wyrzucił ją na bruk, gdy okazało się, że spodziewa się dziecka. Nic, że ani razu nie zainteresował się jej losem, czy ma się gdzie podziać, za co żyć. To nic, że ani trochę nie obchodziło go, że ma wnuczkę! — Zamilk-

łam, by opanować się trochę, a Irena nie wspomniała już potem o tym ani słowem.

Co za ironia losu. Teraz będzie musiał znosić mnie pod swoim dachem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Gdyby nie fakt, że to tak bardzo mi nie odpowiada, zrywałabym boki ze śmiechu.

21.30

No i w końcu jestem. Po niemal trzygodzinnej podróży pociągiem dotarłam na miejsce. Nareszcie, choć nie wiem jeszcze, czy mam się cieszyć, czy płakać. Na dworcu w Bielsku-Białej znalazłam postój taksówek i za ostatnie pieniądze dojechałam do tej dziury. Stare Bielsko to podobno jedna z dzielnic miasta, choć na dzielnicę wcale mi nie wygląda. Przypomina raczej wieś. Wszędzie pola, dużo starych domów. Ale do centrum jest niedaleko.

Kiedy podjechałam pod płot i wysiadłam z taksówki, to chyba po raz pierwszy w życiu nie bardzo wiedziałam, co robić. Nie wiem czemu. Przypomniła mi się mama i poczułam, że zaraz się rozryczę. Tak to jest. Jak już jestem przekonana, że po tym wszystkim doszłam do siebie, to zawsze coś się musi stać. Jakieś słowo, jakiś gest, stara kartka pisana jej charakterem, znaleziona w kieszeni kurtki, i ryczę. Ale to chyba normalne. Chyba każde dziecko podobnie przeżywa śmierć matki, prawda? W każdym razie zanim zapukałam do drzwi, najpierw musiałam dojść do siebie. Stwierdziłam, że pójdę do ogrodu, by się rozejrzeć.

Po kilku krokach usłyszałam jednak, jak drzwi frontowe się otwierają. Odwróciłam się i zobaczyłam otyłą, niską kobietę machającą do mnie.

— Izuniu! Witaj! Jak podróż? Chodź prędko do domu, boś pewnie głodna i zmęczona. Chodź, chodź!

Rzuciłam ostatnie spojrzenie w kierunku, w którym zmierzałam, po czym ruszyłam bez słowa w jej stronę. Zwiedzanie ogrodu muszę zostawić sobie na później. Gdy dotarłam do stopni, na których stała, kobieta uściskała mnie. Zaskoczona jej serdecznością wybąkałam krótkie „dobry”.

— Zostaw walizkę tutaj i chodź do kuchni — rzekła i po chwili znalazłyśmy się w środku. — Dziadka twojego nie ma. Na uczelni siedzi i późno dziś wróci. Chodź, dam ci kolację. Mam nadzieję, że naleśniki lubisz.

— Lubię — odparłam i ruszyłam za nią, rozglądając się zaciekawiona.

Boberowa — pani Zofia Bober, dokładnie rzecz biorąc, ale od momentu, gdy mi się przedstawiła, nie potrafię o niej myśleć inaczej — zaprowadziła mnie do kuchni, gdzie posadziwszy przy stole, zaczęła szykować jedzenie. Paplała przy tym cały czas, bez przerwy.

— Pracuję dla twojego dziadka od siedmiu lat. Pierwszy raz przysłałam mu pomoc kilka dni po śmierci twojej babci. Jaka to dobra kobieta była! Taka tragedia! Potem przychodziłam coraz częściej. A to, by posprzątać, a to, by coś ugotować. I tak już zostało. Mieszkam w tym domu, co go w dole z ulicy widać, z synem i wnuczką. Maja ma na imię i jest w twoim wieku, jak mi się zdaje... Zresztą poznacie się pewnie niedługo.

Słuchając jej, wpatrywałam się w wielki, stary piec kaflowy służący obecnie jako dodatkowa półka na garnki i patelnie. Reszta sprzętów, w tym meble, także zdają się mieć po dobrych kilkadziesiąt lat. Ściany kuchni wyklejone są tapetą imitującą drewno, a na

środku podłogi leży duża, okrągła, słomiana mata w trzech kolo-
rach. Już po chwili stwierdziłam, że całkiem tu przytulnie.

Zapach jedzenia sprawił, że faktycznie poczułam głód. Szyb-
ko zgubiłam się w potoku wypowiedzianych przez Boberową słów.
Myślałam o tych wszystkich rzeczach, których zostałam pozba-
wiona. Mogłam się tu wychować. Mieć normalny dom, rodzi-
nę. Być beztroskim dzieckiem bez obowiązków i bez bagażu do-
świadczeń.

— ...i zawsze uśmiechnięta. Wiedziałaś o tym? — głos wyraź-
nie zwrócony w moją stronę wyrwał mnie z zamyślenia.

— Przepraszam — rzekłam. — Może pani powtórzyć?

— Och, to nic ważnego. Masz, jedz — rzekła i postawiła przede
mną talerz parujących naleśników z serem.

Podziękowałam i zabrałam się do jedzenia. Boberowa wypyty-
wała o podróż, o szkołę, o Kraków, a ja odpowiadałam najkrócej,
jak tylko mogłam. Jakoś nie miałam ochoty na rozmowę. Kiedy
skończyła zmywać naczynia, usiadła obok i zaczęła mi się przy-
glądać.

— Nie jesteś podobna do matki — stwierdziła w końcu.

— To dlatego, że wdałam się w rodzinę ojca — odparłam
z powagą i o mało się nie roześmiałam na widok jej miny.

Idę o zakład, że teraz nie może zasnąć z ciekawości, zastana-
wiając się, czy rzeczywiście wiem, kto jest moim ojcem. A niech
się zastanawia. Szkoda tylko, że odpowiedź brzmi „nie”. Niestety.

Przez całą drogę zastanawiałam się, czy go tu odnajdę. Byłoby
cudownie, ale nie mam zielonego pojęcia, jak się do tego zabrać.
Przecież nic o nim nie wiem. Nie wiem, czy pochodził stąd, a jeśli
tak, to czy dalej tu mieszka. Nie wiem, jak wygląda, ile ma lat, jak
się nazywa. Nie wiem nawet, czy on w ogóle zdaje sobie sprawę

z mojego istnienia. Chyba próbowałby nawiązać z nami jakiś kontakt, gdyby wiedział. Przynajmniej taką mam nadzieję, bo myśl, że mój własny ojciec także mnie olał, nie jest zbyt miła. Może matka nigdy mu o mnie nie powiedziała? No ale mogła przynajmniej mi powiedzieć o nim. Pewnie któregoś dnia w końcu by to zrobiła, ale nie zdążyła. Nie mogę tego przeboleć.

Boże, gdybym mogła porozmawiać z nim chociaż przez chwilę! O tyle rzeczy chciałabym go zapytać! Porozmawiać na tyle tematów! Oprócz Ireny nie mam już nikogo i potrzebuję go bardziej niż kiedykolwiek. Kołachowski to dla mnie zupełnie obcy człowiek.

Gdyby się tak nad tym wszystkim dobrze zastanowić, to na podstawie mojego życia można by sklecić fabułę do kolejnej tandetnej telenoweli. Tytuł... może coś w stylu: „Niechciane dziecko Anny K.”. Odcinek pierwszy: Anna jest młodą, osiemnastoletnią dziewczyną, wychowywaną pod czujnym okiem despotycznego ojca. Gdy niespodziewanie zachodzi w ciążę z bliżej nieokreślonym osobnikiem, którego tożsamości nie chce zdradzić nawet pod presją rodziny, przyjaciół i księdza, wybucha sensacja. Ta niesława doprowadza do szału jej ojca, który — aby dodać nieco dramatyzmu — wyrzuca ją z domu i pozostawia na pastwę okrutnego świata. Na odchodne stwierdza, że nie chce jej więcej widzieć na oczy. Ani jej, ani dziecka. Odcinek dwa tysiące trzysta pięćdziesiąty szósty: Niechciane dziecko Anny K. po niemalże osiemnastu latach powraca pod dach despoty ku ogólnemu oburzeniu lokalnej społeczności i samego zainteresowanego, który trwając w oślim uporze, charakterystycznym dla starców po siedemdziesiątce, nie raczył nawet wyjechać po niechciane dziecko na dworzec kolejowy.

Ale głupoty wypisuję. Powinnam zostać pisarką. Jeżeli już o Kołachowskim mowa, to nie widziałam go dzisiaj, ale nie ma

czego żałować. Jeszcze się na niego napatrzę. Jaka szkoda, że nie mam jeszcze osiemnastu lat. Wtedy nie byłabym zdana na jego łaskę. Ale spokojnie, jeszcze tylko parę miesięcy. Tylko co wtedy? Tak czy inaczej muszę mieszkać z nim, bo dokąd niby miałabym pójść? Muszę najpierw skończyć szkołę, a potem dostać się na studia i tyle będzie mnie widział. Wrócę do Krakowa. Dostanę się na Jagielloński, choćby nie wiem co.

A wracając do tematu. Po kolacji Boberowa zaprowadziła mnie na piętro i pokazała mi mój nowy pokój.

— Kiedyś mieszkała tu twoja mama — rzekła, otwierając przede mną drzwi.

Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to leżące na dywanie kartonowe pudła z moimi rzeczami, które wysłałam kilka dni wcześniej. Weszłam do środka i rozejrzałam się. Pokój nie jest duży. Na wprost drzwi znajduje się sporej wielkości okno, a pod nim stoi biurko z niebieską lampką nocną. Na lewo, pod ścianą, znajduje się drewniane łóżko przykryte kolorową narzutą, a na prawo — stary brązowy segment. Ściany pomalowane są na żółto, a drewnianą podłogę zdobi wypłowiały, miejscami wydeptany dywan w brązowe wzory. Gdy weszłam dalej i obejrzałam się za siebie, zauważyłam, że ściana przy wejściu zajęta jest przez stojącą we wnęce wielką szafę z jednej strony i półkę z książkami z drugiej. I do tego te drzwi — białe, odrapane i wydające przy otwieraniu przejmujące skrzypnięcia.

— Podoba ci się? — spytała Boberowa.

— Tak — odparłam zgodnie z prawdą i podeszłam do biurka.

Ogarnęło mnie dziwne uczucie, które nadal mnie nie opuszcza. W tym pokoju moja mama budziła się i zasypiała. Tu uczyła się, czytała, marzyła. W końcu znalazłam się w miejscu, gdzie dorastała, i zebrało mi się na płacz. Po raz kolejny.

— Pościel jest świeżo przebrana — odezwała się znów Boberowa. — Na korytarzu, po prawej stronie, jest łazienka, gdybyś chciała się umyć. Jest mała, ale powinna ci wystarczyć. Śniadanie będzie o dziewiątej. Gdy twój dziadek jest w domu, to z reguły jada posiłki o tych samych godzinach. Pamiętaj o tym. Gdybyś czegoś potrzebowała, to będę na dole jeszcze jakąś godzinkę.

— Dziękuję — wymamrotałam, marząc jedynie o tym, by już sobie poszła. Sympatyczna z niej osoba, ale gdy w każdej chwili grozi nam wybuch spazmatycznego płaczu, nawet sympatyczne osoby nie są w pobliżu mile widziane.

— No, to chyba wszystko. Śpij dobrze.

— Dobranoc.

— Dobranoc — odparła Boberowa i wyszła, zamykając za sobą skrzypiące drzwi.

Po jej wyjściu łzy ciurkiem popłynęły po mojej twarzy. Pozwoliłam sobie przez chwilę popłakać, starając się być przy tym w miarę możliwości cicho, po czym wycierając nos rękawem — zły nawyk, wiem — rozejrzałam się raz jeszcze dookoła.

Mama niewiele tu zostawiła. Półki kredensu świecą pustkami. Pokój sprawia raczej przygnębiające wrażenie, ale być może jest to wina mdłego oświetlenia, jakie daje wisząca u sufitu mała lampa. Hmmm, postanowione — lampa wylatuje stąd pierwsza. Podeszłam do okna i otworzyłam je na oścież. Do wnętrza wlało się duszne, wieczorne, czerwcowe powietrze. Prawdziwa mieszanina zapachów. Ziola, kwiaty, lekko wilgotna trawa. Zupełnie inaczej niż w Krakowie. Ostatecznie stwierdziłam, że nie jest źle. Pokój ma potencjał i zamierzam go w pełni wykorzystać. Jakoś trzeba się tu urządzić i przetrwać.

Teraz siedzę przy biurku i piszę. Chwila słabości na szczęście minęła. Dobrze, bo jutro czeka mnie drugie spotkanie z Kołachowskim. Pierwsze to była porażka. Podszedł do mnie i Ireny po pogrzebie. W zasadzie rozmawiał tylko z nią, zerkając na mnie raz po raz. Jego wzrok był taki... zimny, rzeczowy. I przez cały czas mówił o mnie w trzeciej osobie, nazywając mnie „tym dzieckiem”. W normalnych okolicznościach zaraz powiedziałabym mu, co o tym myślę, ale okoliczności nie były normalne. Miałam zapchany nos i napuchnięte od płaczu oczy, co skutecznie odebrało mi resztki fasonu. Trudno się stawiać, gdy wygląda się jak napuchnięty balon.

Chyba się trochę denerwuję, ale prędeż pozwolę się posiekać, niż mu to okażę. Nie dam mu tej satysfakcji. Wystarczająco długo wszyscy mu ulegali, z moją mamą i babcią na czele. Koniec z tym. OK, muszę się już położyć, bo dochodzi pierwsza w nocy, a ja jestem bardzo zmęczona. Kleją mi się oczy.